

JACEK PAŁASIŃSKI

*Zapiski
z podróży 2015*



RW2010

Jacek Pałasiński

**ZAPISKI Z PODRÓŻY
2015**

Oficyna wydawnicza RW2010

Poznań 2015

JACEK PAŁASIŃSKI
ZAPISKI Z PODRÓŻY

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja i korekta: zespół RW2010

Copyright © Jacek Pałasiński 2015

Okładka © Maria Czerniewicz-Pałasińska 2015

Zdjęcia Copyright © Jacek Pałasiński 2015

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-167-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

13 stycznia

Po morderczym roku wreszcie urlop. Wyczytałem, że B777 British Airways przyleciał w 5 h z NY do Londynu, półtorej godziny przez czasem; leciał niemalże z prędkością dźwięku dzięki jet-streamowi wiejącemu w ogon z prędkością prawie 400 km/h. To ma jednak bolesne konsekwencje, kiedy się leci w drugą stronę. Do USA dotarliśmy z ponadgodzinnym opóźnieniem, samolot leciał 650–720 km/h, 100–180 mniej niż powinien. Walczył z wiatrem, a nie mógł wypalić całego paliwa.

Przy okazji: unikajcie linii Air Berlin. Niby *cheap*, ale w ramach oferty nawet Luftwaffe teraz daje bilety znacznie tańsze. Grr... Samolot zdezelowany i brudny, miejsca na nogi nieprzyzwoicie mało, jedzenie na pokładzie na poziomie stołówki studenckiej z lat 60. i 70.

Unikajcie też wypożyczalni ACE, miała być najtańsza, a na rachunku widzę 1 000 dolarów, więcej niż na kontrakcie internetowym. Po długiej kłótni po hiszpańsku udało mi się dojść do ceny niewiele wyższej od kontraktowej, ale musiałem zrezygnować z dodatkowego ubezpieczenia i bez GPS (chcą 50 dolarów za dzień!) i dostałem samochód z rozkrojonym prawym bokiem.

Ale za to otrzymałem info z policji brukselskiej, że mój telefon został „odnaleziony”! Mogę go odebrać w komisariacie na przedmieściach Brukseli. Zabawne, nieprawdaż?¹

Znikam, ogólne serdeczności z ciepłych krajów!

15 stycznia

Trzeci dzień to samo: naburmuszony poranek, dłuższa chwila walki, potem słońeczko zwycięża. Upału nie ma, dziś nawet wszystkiego 25 stopni, ale oczywiście od przyjazdu paraduję całymi dniami w szortach i koszulkach z krótkim rękawem. Żona to się nawet kilka razy w oceanie wykąpała. Ja stałem na brzegu i myślałem ze zgrozą: a co, jak się zacznie topić? Będę musiał wleźć w tę zimną wodę! Najwyżej 22 stopnie. O pięć, jak dla mnie, za mało! Na niebie niespokojnie, bo nad Morzem Sargassowym niż i chmurzyska o nieeuropejskim kolorze, jakieś takie zielonkawe, regularnie zahaczają o ten jezior ziemi, jakim jest Floryda.

¹ Niektórzy z Państwa mogą pamiętać: skradziono mi w Brukseli telefon komórkowy. Nowy „właściciel” fotografował nim, co się dało, w tym fakturę z własnym nazwiskiem i adresem, a to wszystko spływało na mojego Dropboxa. Przy następnym pobycie w Brukseli dostarczyłem policji dane faceta, ale mijały miesiące i nic się nie działo. Dzięki Pani ED, sprawą zainteresowała się belgijska prasa i w kilku gazetach naraz ukazały się ogromne artykuły ze zdjęciami moim i nowego „właściciela”. Zawstydzona policja jeszcze tego samego dnia zabrała mu telefon. Clou, większości Państwu nieznanie: telefon podejrzanemu został odebrany, a potem zdeponowany w centralnym magazynie policyjnym, gdzie zaginęła i do dziś nie został odnaleziony.

Miami to raj dla miłośników *people watching*. Cóż tu za różnorodność ludzkich istot! Ileż tu pieniędzy, rozmiękczających ludziom mózgi, ileż próżności, natręctwa wyglądu!

Ale jednocześnie ilu ludzi z historiami, które nadają się na film! Żydzi, którzy z białoruskich miasteczek i kresów Rzeczypospolitej trafili tu via Argentyna, Wenezuela czy Kuba; Polacy z czwartego czy piątego pokolenia z pozmienianymi nazwiskami, ale i tak „swoi” wiedzą, że gość o nazwisku wymawianym „Dzadzak” to Zajac... Można się bawić w zgadywanie, który demokracja, który republikanin, pałający żywiołową nienawiścią do Obamy... I tak sobie myślę, że ulice Warszawy są nieprzyzwoicie monochromatyczne. Szkoda...

17 stycznia

Ależ ten stan jest świetnie zorganizowany! Odświeżam sobie mój podziw dla Jeba Busha i jego poprzedników. Wielkie magazyny atakują? Ich prawo, super, ale nie niszczy małych sklepików. Jak? Miasto Miami w hrabstwie Dade uruchomiło darmowe autobusiki, stylizowane na staroświeckie tramwaje. Jeżdżą niespiesznie ulicami i uliczkami Miami i Miami Beach, kto chce, to wsiada, a kierowca opowiada, co w mijanych sklepikach można kupić, gdzie wypić dobrą kawę, gdzie zjeść, gdzie coś naprawić... Kto nie wiedział, ten się dowie, kto wiedział, ale miał daleko – dojedzie za darmo... Po zakupach wsiądzie w następny taki autobusik i wróci do domu, a jutro znów pojedzie, może dalej, może w drugą stronę, zabierze sąsiadkę, znajomego... Starsi państwo mają co robić w ciągu dnia, a mała ekonomia dostaje kolejny zastrzyk pieniędzy. Właściciele małych sklepików są zachwyceni.

Parkingi wszędzie – prywatne drogie, publiczne tanie. Gdzie nie da się szpilki wcisnąć, jak wokół Ocean Drive, tam rządzi *valet parking*: wysiadasz, zostawiasz kluczyki wynajętemu przez miasto facetowi, a on już odwozi twój samochód na najbliższe wolne miejsce. Albo zamawiasz powrót na określoną godzinę, albo wracasz, kiedy chcesz, i czekasz 5 minut, a twoje auto podjeżdża ci do stóp, płacisz za parking 5–10 dolarów, wszyscy są zadowoleni, bezrobotni mają pieniądze, bogaci mają wygodę... Ameryka!

18 stycznia

No, Miami dało mi wreszcie to, za co zapłaciłem: niebo błękitne na sztywno, słońeczko, 28 stopni i lekki wietrzyk. A to oznacza sus w naturę. Rozbuchaną, olśniewającą, egzotyczną naturę. Tak bym chciał móc pokazać chociaż fragment nakręconego dziś materiału: 1 080 gatunków palm, jeziora, las tropikalny, nieznanne kwiaty, owoce i motyle o skrzydłach wielkich jak moje dłonie; kiedy je zamkną – są

jak pawie oczka, odcienie brązu i beżu, a w środku wielkie oko, jak u lamparta, żeby odstraszać mających złe intencje; kiedy je otworzą są błękitne! Kolorowe jaszczurki i dwumetrowe iguany. Jedno z tych przeżyć, kiedy masz wrażenie, że je wyśniłeś, że tak właśnie wyobrażałeś sobie raj, a tymczasem szczypiesz się i okazuje się, że rzeczywiście w nim jesteś.



Fairchild Park, Coconut Grove.

Sobota, więc na *highway* wokół Miami wyległy tłumnie najdroższe i najbardziej „showy” samochody świata w ilościach naprawdę hurtowych. Byłem tu już kilka razy, ale zawsze robią niesamowite wrażenie, te czteropiętrowe skrzyżowania, te rozjazdy, te 10 pasm w każdą stronę...

Tutaj jeździ się paranoicznie, czyli ostrożnie aż do przesady. Na razie bardzo to lubię, ale na dłuższą metę pewnie by mnie denerwowało, bo jeździć trzeba z życiem! A tu – każda kolizja może być bardzo bolesna finansowo, więc ludzie jeżdżą jak z jajeczkiem, i to nieświeżym. Zatrzymują się 5 metrów za poprzedzającym ich pojazdem, przepuszczają każdego, stop jest święty; nie znaczy „zwolnij”, ale „zatrzymaj się na 3 sekundy”. Na skrzyżowaniach przeważnie nikt nie ma pierwszeństwa. Zatrzymują się wszyscy, a rusza jako pierwszy ten, kto pierwszy przyjechał. 30 mil na godzinę znaczy 30, nie 31. Starych samochodów policyjnych się nie złomuje, tylko ustawia koło szkół, niebezpiecznych skrzyżowań; nigdy nie wiesz, czy szeryf jest w środku, czy nie. Bo bywa! Zero poczucia humoru, zero tolerancji.

No i domusie, parterowe głównie, obszerne, wygodne jak stary kapeć, wykonane z byle czego, ale zatopione w kwiatkach domusie. *American dream* tutaj jest zrealizowany, ciągnie się dziesiątkami mil wzdłuż wybrzeża, kanałów, pod tunelami z drzew tamaryszkowych albo palm. Ale o tym kiedy indziej.

19 stycznia

Nigdy nie nachwałę się dosyć florydzkich dróg. Jechałem wczoraj kilkadziesiąt kilometrów Interstate-95: 8 pasm w każdą stronę, królewskie rozjazdy, wielopasmowe, po których można jeździć, nie odejmując gazu; żadnego ostrzejszego zakrętu. Podobnie te pomniejsze, jak kultowa US1, która zaczyna się w Key West i biegnie wzdłuż wybrzeża Atlantyku aż do granicy z Kanadą: przebiega przez wszystkie miasta i miasteczka, najeżona światłami, „zaledwie” sześciopasmowa, ale z tak uregulowanymi światłami, że stoi się rzadko. I to oznakowanie: kiedy raz się chwyci system, odmienny od europejskiego (na drogowskazach następne skrzyżowanie, a nie miejscowość, a nie następne wielkie miasto, wskazówki dotyczą tylko tego, czy droga prowadzi na wschód, zachód, północ czy południe), to nie sposób pobrać. Wszędzie: „przygotuj się, niedługo możesz musieć hamować”, „zabierz uszkodzone w stłuczce samochody z pasa ruchu” i w ogóle do znaków drogowych, często bardzo odmiennych od europejskich, ale na tyle jasnych, że od razu wiesz, o co chodzi, jest mnóstwo objaśnień „literackich”, w rodzaju „z tego pasa MUSISZ skrócić w prawo”...

Ludzie jeżdżą bardzo ostrożnie, bo chmary adwokatów czekają, by w razie jakiegokolwiek kolizji oskubać cię do ostatniego grosza na całe życie. Poza tym nie ma najmniejszej przesady w stwierdzeniu, że to stan dla emerytów. W wielu miejscach czuję się nieswojo „winny” za mój młodzińczyk wiek.

Tak, ja wiem, nie byłbym dziennikarzem, gdybym nie zdawała sobie sprawy, że tej orgii wszelkiego bogactwa towarzyszą upokarzająca bieda i wyzysk. Jeździłem podczas poprzednich wizyt po drogach środkowej Florydy, drogi nadal dobre, ale osady, ba, całe miasteczka ludzi, mieszkających w przewoźnych, tekturowych pudełkach są przygnębiające i każą zatęsknić za opiekuńczą Europą. W samym Miami na chmary bogaczy pracują równie liczne chmary ludzi ewidentnie wyzyskiwanych. Mają ochronę związkową, nikomu nie przyjdzie do głowy zatrudniać ich na więcej niż 40 h tygodniowo, za każdą dodatkową godzinę są królewskie nadgodziny... Wielu z nich ma w samym Miami, a nawet Miami Beach, całkiem przyzwoite domki, które w wielu miejscach Europy byłyby obiektem zazdrości, jednak w zderzeniu z rozpasanym bogactwem South Beach, Nord Beach czy Sunny Isles wyglądają jak psie budki.

No ale ja nie zamierzam przeprowadzać socjologicznych analiz, chcę tylko powiedzieć, że państwo, czyli władze stanu Floryda, swoją odpowiedzialność za infrastrukturę potraktowały bardzo poważnie i dzięki temu np. systemu drogowego Florydy nie da się porównać z niczym, co można spotkać w Europie; to po prostu inna planeta.